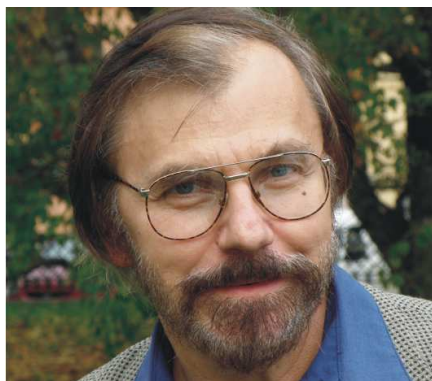


Listy do Pani A. (100)



Jubileusz i festiwale

Szanowna, Droga, Miła Pani!

Taka potrójna inwokacja niechaj świadczy o wyjątkowości tego listu, bo nie co miesiąc piszę do Pani po raz setny. Drugi podobny list, dwusetny, będzie za wiele lat, o ile w ogóle będzie. Może więc nadzedł czas, aby uchylić nieco rąbka tajemnicy.

Pyta mnie wiele osób, czy Adresatka tych „Listów” istnieje w rzeczywistości, czy tylko została wykreowana z pomocą mojej wyobraźni. I tak, i nie. Otóż widywałem Panią, w pewnym okresie niemal codziennie, nawet zamieniliśmy kilka słów, byliśmy kiedyś znajomymi nie tylko z widzenia. Wysłałem kiedyś do Pani adres internetowy „Gazety Kulturalnej” z felietonem, a Pani odpowiedziała mi, że to niecodzienne przeżycie, kiedy się czyta tekst o sobie samej. A kiedy chciałem Panią zaprosić na spotkanie autorskie, napisała mi Pani, abym się niej nie odzywał, albowiem jest to dlań krępujące. Oczywiście, dostosowałem się do tego w całej rozciągłości. Nie powiem, że nie było mi przykro.

A jak doszło do pisania owych „Listów”? Kiedy zmarł nieodżałowanej pamięci Tadeusz Kwiatkowski-Cugow, naczelny „Gazety Kulturalnej, Andrzej Dębowski, zaproponował mi, abym objął kolumnę po Tadku. Zastanawiałem się nad jej formułą. A ponieważ chciałem dzielić się z kimś swoimi przeżyciami, spostrzeżeniami, opowiadać o różnych wydarzeniach, zwierzać się ze swoich emocji – postanowiłem to czynić „na piśmie” mając tuż obok siebie wyobrażenie Pani jako powiernicy, do której mogłem mówić z ukrycia i oddalenia. Oto cała tajemnica.

A życie toczy się dalej. Zawsze podziwiałem rozliczne talenty Stanisława Nyczaja, przede wszystkim poetycki, bo to twórca wybitny. Nie sposób jednak nie dostrzec innych. Staszek organizuje ciekawe spotkania i plenery literackie.

Choć niekiedy trudno wyciągnąć mnie z domu, Nyczajowi się to z reguły udaje, jak choćby tej jesieni, we wrześniu. Oto urządził Staszek plener w Mąchocicach – Scholasterii na żeromszczynie. Przyjechali twórcy, kilkanaście osób, aby się – jak zwykle – spotkać, odetchnąć świętokrzyskim powietrzem, pobyć razem, poznać się wzajemnie oraz swą twórczość, nawiązać kontakty osobiste. Trzeba wspomnieć, że plenery te nie ograniczają się wyłącznie do literackich, ale bywają i plastyczne. Obie te dziedziny – poezja i malarstwo – mówią

tutaj pełnym, równorzędnym głosem.

I tak przyjechałem do Scholasterii. Wsiadam z samochodem, a tu pusto i cicho. Dzwonię więc do Staszka. Okazało się, że wszyscy już są na obiedzie.

Po południu prezentowała swoje wiersze Joanna Kłaczyńska, z zawodu lekarz medycyny. Delikatne, nastrojowe, głęboko refleksyjne. Dużo w nich empatii. Ktoś zauważył, że zawód lekarza uwarściwia na drugiego człowieka, na jego cierpienie, i lekarze powinni pisać wiersze. Nie powiedziałem nic, ale wewnętrznie zaprotestowałem. Do pisania potrzebne są jeszcze predyspozycje, zdolności, talent. Nie wystarczy samo współczucie. Ale w tym przypadku to wszystko było. Joanna Kłaczyńska pisze bardzo dobre wiersze.

Przyjechał na plener jej mąż, Włodzimierz Kłaczyński, znakomity prozaik. Z zawodu lekarz weterynarii. Pomyślałem sobie, że świetnie się uzupełniają, bo człowiek, to bez wątplenia również zwierzę.

Swoje wiersze prezentowali Kazimierz Ryk i Teresa Tymoszek. Były to wiersze o miłości. O uczuciu, a nie wyłącznie o „bara-bara”. Na plenerze Staszka mogą zaistnieć wiersze, które nie narzucają się krzykliwością, nie muszą epatować wulgaryzmami, nie są udziwnione. To najlepszy dowód, że twórczość bardziej tradycyjna czy kameralna także ma rację bytu, tylko nie może się nieraz przebić przez zgłębienie literackich targowisk.

A ja, w zastępstwie nieobecnej Anny Marii Musz, prezentowałem jej książkę „Poeta i prestrzeń”, wydaną przez STON 2 w ramach „Portretów Literackich”. Nie było mi specjalnie trudno, bo to książka o... mnie.

Następnego dnia Marlena Zynger promowała numer „LiryDramu” poświęcony pisarzom i artystom świętokrzyskim.

Pojechaliśmy do Kielc na promocję tomiku wierszy Romualda Bielendy „Tabu”. To wiersze o tragedii Żydów kieleckich, bardzo przejmujące, przelamujące „tabu”. Kiedyś o tych sprawach nie mówiło się prawie nic. Promocja ta była uświetniona wspaniałym koncertem pieśni żydowskich. Znaleźliśmy się jakby w innym zupełnie świecie. Dla trzynastoletniej artystki, uczestniczki pleneru, było to niepowtarzalne, jedyne w swoim rodzaju przeżycie.

Wielkie wrażenia zrobiła na nas wizyta w Dąbrowie Dolnej koło Bodzentyna, w „Liberatorium” – pracowni książki Radosława Nowakowskiego. Tego jeszcze w życiu nie widziałem! Radosław Nowakowski posługuje się książką jako formą plastyczną. Są więc tam książki rozkładane (niektóre mają po kilkanaście albo i więcej metrów), okrągłe, kuliste... Wszystkie jednak spełniają swoją rolę książki, można je czytać, rozkładać, składać, oglądać ilustracje. Są to i kompozycje tworzone przez Radosława Nowakowskiego, jak np. księga o ulicy Sienkiewicza w Kielcach, i oryginalnie oprawiana literatura klasyczna, nawet poezja. Wnętrze tej pracowni ma w sobie coś ze świątyni. Mieści się na poddaszu domu mieszkalnego, ukrytym w zagłębieniu do wnętrza gałęziach gęsto rosnących w ogrodzie drzew. Regały, specyficzny zapach papieru, farb, klejów – to się nie da opisać! Dość powiedzieć, że to miejsce na wskroś artystyczne!

A sama żeromszczyna, mała ojczyna pisarza, to także wymarzony region dla artystów. Góry Świętokrzyskie, Ciekoty ze „Szklanym Domem”, a przede wszystkim ze zrekonstruowanym dworkiem Żeromskich, po których oprowadzała nas żona pana Radosława, Krystyna Nowakowska – to wszystko tworzy niepowtarzalny, pełen uroku artystyczny klimat.

Wracałem później z Urszulą i Tadeuszem

Sznerchami, animatorami kultury w Legnicy. Było trochę emocji, bo rozleciała się w aucie kolumna McPhersona. Musiałem jechać bardzo ostrożnie, bo to ważny element zawieszania. Cieszy mnie ta znajomość. Od tamtego czasu jesteśmy w kontakcie mailowym.

W tym roku mocno się „nafestiwalowałem”. W końcu września byłem zaproszony na Litteriadę na Słowację. Imprezę te organizował Radovan Brenkus, tłumacz i pisarz. Mieszka w Rzeszowie wraz ze świetną poetką Martą Pelinko. Ponieważ z Rzeszowa trzeba było do Svidnika wyjechać wcześniej rano, Marta zaproponowała, bym przyjechał do Rzeszowa dzień wcześniej, i przenocowałem u nich. Było bardzo serdecznie, rodzinnie. Nocował też Karl Grenzler. Rano, samochodem Radovana, pojechaliśmy wszyscy na Słowację.

Spotkania były świetne. Czytałem wiersze i mówiłem po polsku. Wszyscy doskonale rozumieli, zadawali też bardzo ciekawe pytania. A tak w ogóle to ciekawy kraj, oryginalna i smaczna kuchnia. Kiedy kelnerka przynosiła danie, mówiła z uśmiechem „nech sa paći”. Więc patrzyłem... A to znaczy, niech smakuje, niech ci się podoba. Coś w tym rodzaju. Ale za pierwszym razem zastanawiałem się co zrobić: przyglądać się, czy zacząć jeść.

Kwaterowaliśmy w Koszycach, w pensjonacie „Baranok”. Koszyce, to piękne miasto, zadbane, a katedra św. Elżbiety wprost imponująca. Była piękna, ciepła pogoda. Siedzieliśmy w kawiarnianym ogródku z Karolem Grenzlerem i piliśmy doskonale piwo „Złoty Bażant”. Zresztą nie tylko tam... Potem już wszystko było „Złotym Bażantem”. Ta nazwa urosła wśród nas do rangi symbolu. Następnego dnia mieliśmy wstać rano. Obudziłem się, bo w pokoju zobaczyłem jakieś światelko. A to Karol zamiast budzika włączył w komórce... latarę. Bażant był nie tylko złoty, ale i wesoły.

Jeszcze tylko spotkanie w Trebiśowie, wycieczka do pałacowego parku, i nazajutrz wracaliśmy do Rzeszowa. Ugoszczeni po raz drugi przez Martę i Radovana pojechaliśmy do domów.

Za trzy dni zaczynała się Międzynarodowa Litteracka Jesień Galicyjska, po mistrzowsku zorganizowana przez Andrzeja Grabowskiego. Niestety od kilku lat Galicja i Warszawska Jesień Poezji przypadają dokładnie w tym samym czasie. Trzeba więc dokonać wyboru. Wybieram na ogół Galicję, ze względu na atmosferę, spotkania, jazdy po pięknym Pogórze. Jest to maraton, ale satysfakcjonujący. Lubię codzienne koncerty poetycko-muzyczne. Dla mnie w tym roku prawdziwym hitem były występy bandurzysty z Ukrainy, Tarasa Lazurkiewicza, dziekana Akademii Muzycznej we Lwowie. Zresztą mieszkaliśmy w jednym pokoju, można więc było ciekawie porozmawiać. Oryginalny instrument, świetny głos Tarasa – to był balsam dla uszu.

Wracałem przez Pilicę. Kiedy w tamtejszym sklepie pani ekspedientka dowiedziała się, że mam z Pilicą rodzinne związki, dała mi kilkanaście numerów miejscowego pisma. Znalazłem tam reprodukcję obrazu nieistniejącego kościółka św. Piotra, pędzla mojego wuja, Mieczysława Wielopolskiego. Sprawilo mi to przyjemną niespodziankę.

I zaraz w Warszawie Festiwal Poezji Słowiańskiej, jak zwykle ciekawie organizowany przez Aleksandra Nawrockiego. Ale o tym, i o pozostałych wspomnę Pani bardziej szczegółowo w następnym liście.

A teraz serdecznie po raz setny Panią pozdrawiam!

Stefan Jurkowski